

# BARKA ŻYCIA

**PO POBYCIE W OBOZIE KONCENTRACYJNYM W BUCHENWALDZIE AUTOR ZNALAZŁ SIĘ W PODOBOZIE W OSNABRÜCK.**

**W ciężkich warunkach pracowaliśmy w okolicach Osnabrück przy różnych okolicznościowych pracach, szczególnie przy odgruzowywaniu zbombardowanych terenów, budowie schronów i torów kolejowych. Praca była wyczerpująca i wielu więźniów przytłoczyła ją życiem. Z nakazu dowództwa obozu wraz z kilkoma innymi więźniami grzebałem zmarłych współwięźniów na pobliskim cmentarzu. Pod koniec lata 1944 r. dowództwo naszego podobozu otrzymało rozkaz przeniesienia całej naszej grupy roboczej na teren Francji, do budowy stanowisk dla torped latających V-1 i V-2.**

Wczesnym rankiem wyjechaliśmy z Osnabrück w przepelnionych wagonach towarowych. Po kilku godzinach jazdy nasz transport został zatrzymany na niewielkiej stacji kolejowej w pobliżu Münster. Po krótkim postoju nadjechał transport wojskowy z żołnierzami i sprzętem wojskowym, udający się również do Francji. Między komendantem naszego transportu a dowódcą jednostki wojskowej doszło do ostrej i zacieklej sprzeczki o pierwszeństwo wyjazdu z tej stacji. Pod gromem licznych argumentów dowódcy wojskowego nasz komendant zgodził się na pierwszeństwo wyjazdu dla ich transportu, który wkrótce opuścił stację. Jednak to pierwszeństwo wyjazdu okazało się fatalne w skutkach. Właśnie ogłoszono alarm lotniczy. Niespodziewanie szybko nadleciały samoloty alianckie, które wytropiły wroga i bombami oraz pociskami z karabinów maszynowych całkowicie ten transport zniszczyły. Gdybyśmy pierwsi wyjechali ze stacji, uleglibyśmy całkowitej zagładzie. Wezwano nas na pomoc. Wielu żołnierzy poniosło śmierć na miejscu, wielu było rannych i niemal doszczętnie zniszczony sprzęt wojskowy. Sporo czasu zajęło nam zbieranie rannych i oczyszczanie torów kolejowych.

Po pewnym czasie wyruszyliśmy w dalszą podróż i przez Belgię wjechaliśmy na teren Francji. Na krótki czas zatrzymaliśmy się w Rouen, a następnie wjechaliśmy nad kanał La Manche, do Pas de Calais, a w końcu do Ronan. Tu większość więźniów pracowała przy budowie bunkrów wojskowych, a reszta przy różnych pracach na terenie obozu i poza obozem.

Jednego dnia polecono nam naleźycie uprzętnąć pomieszczenia i cały teren obozowy, gdyż zapowiedziana została wizyta wyższych oficerów SS i Wehrmachtu. Wczesnym rankiem zajechały na teren obozu trzy samochody osobowe pełne dostojników niemieckich, przeważnie gestapowców. Przejrzeli niemal cały obóz oraz baraki mieszkalne, gospodarcze i barak szpitalny. W drzwiach tego baraku zatrzymał się jeden z wyższych oficerów, a drugi wszedł do środka, sprawdzając stan chorych i stan sanitarny. Nadzór w baraku szpitalnym sprawował lekarz – więzień polityczny, Polak, dr Władysław Winkler. Gestapowiec zapytał go, kim jest i jak się nazywa. Gdy usłyszał odpowiedź, że jest lekarzem Polakiem, gestapowiec rzekł do niego piękną polszczyzną: „Jutro otrzymacie instrukcję, będzie przy okienku nr 3. Wraz z kilkoma zaufanymi więźniami należy ją dokładnie przeczytać, zniszczyć i zastosować się do jej wskazówek”. (Z tym lekarzem obozowym żyłem w wielkiej przyjaźni, obaj śledziliśmy pilnie, co się wokół nas dzieje. Często pomagałem mu przy

operowaniu rannych i leczeniu chorych. Niestety, nie miałem okazji dowiedzieć się, co zawierała instrukcja, gdyż rozdzielono nas i chwilowo straciliśmy łączność). W chwilę po wyjeździe komisji w obozie nastąpił szalony ruch. Na jego teren wjechało kilkanaście samochodów z gestapowcami. Zarządzono alarm i pełne pogotowie służby obozowej. Gestapowcy penetrowali wszystkie budynki i cały teren obozu. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że rzekoma inspekcja obozu była nielegalna, a przeprowadzili ją członkowie alianckiego wywiadu przebrani w niemieckie mundury.

Niedługo potem zostaliśmy przewiezieni w pobliże Paryża. Tym razem zakwaterowano nas na terenie dawnych koszar francuskich i stąd pędzono codziennie do pracy przy budowie stanowisk dla torped latających, wypuszczanych w kierunku Wysp Brytyjskich. Była to praca ciężka i bardzo wyczerpująca. Od świtu do nocy nosiliśmy kamienie i budowaliśmy drogi dojazdowe do wyznaczonego stanowiska. [...]

W lasach pod Paryżem działały liczne oddziały partyzanckie francuskiego podziemia. Wśród różnych ugrupowań partyzanckich byli też emigranci z Polski, z którymi nawiązaliśmy potajemną łączność. Kilkakrotnie usłpił czujność pilnujących nas Niemców, wkroczyli na tereny obozu, przynosząc jedzenie i prawdziwe, najświeższe wiadomości o sytuacji wojennej na różnych frontach. Opowieści o sukcesach wojennych, którymi karmili nas Niemcy, były istną fikcją. Pod koniec 1944 r. niepowodzenia frontowe i szereg klęsk wojsk hitlerowskich zmusiły Niemców do wycofania się z terenu Francji. W początkach 1945 r. naprędce zlikwidowano nasz obóz, a całą naszą brygadę pod zwiększoną eskortą gestapowców i żołnierzy Wehrmachtu pędzono pieszo w kierunku Belgii.

Podczas tego wyczerpującego marszu kilkakrotnie ostrzeliwały nas samoloty alianckie. Naloty dawały się mocno we znaki cofającym się wojskom hitlerowskim, zniszczyły w znacznej mierze ich sprzęt wojenny, wielu żołnierzy poniosło śmierć lub odniosło ciężkie rany. Było też kilku rannych i zabitych w naszej grupie więźniów. Na krótko zatrzymano nas w pobliżu wschodniej granicy Francji. Czasowo ulokowano nas w starym zamku otoczonym licznymi budynkami, wysokimi, grubymi murami i kilkoma schronami przeciwlotniczymi. Strzegli nas gestapowcy, wśród których był nowo przybyły młody oficer hitlerowski, specjalnie wytresowany do katowania i znęcania się nad więźniami, nawet w chwilach naszego odpoczynku. W tym czasie na nasz budynek spadło kilka ciężkich alianckich bomb. Prawie wszyscy gestapowcy, ale też i wielu więźniów, w czasie alarmu udali się do schronu. Na czas nie zdążył dojść do schronu ten młody oficer, bo właśnie znęcał się nad kilkoma więźniami. Schronił się więc do głębokiego dołu. W pobliżu tego dołu spadła jedna z bomb i gestapowiec całkowicie został zasypany ziemią. Po ustaniu nalotu i odwołaniu alarmu wykopano go. Żył jeszcze, został gdzieś przewieziony i nigdy już do nas nie wrócił.

W początkach stycznia 1945 r. załadowano nas do wagonów towarowych w pobliżu granicy belgijskiej i dowieziono do Lille. Na torach kolejowych tej stacji zatrzymało się kilka transportów wojskowych wycofujących się z terenu Francji. Zostały zaatakowane przez działające na tym terenie oddziały, prawdopodobnie francusko-belgijskie, podziemnego ruchu oporu. Nasze wagony stały nieco na uboczu, a straż ochronna została zwiększona. W wymianie ognia pomiędzy atakującymi oddziałami i broniącymi się żołnierzami niemieckimi zginęło kilku żołnierzy, zniszczony też został w dużym stopniu sprzęt wojskowy. Korzystając z zamieszania, kilku więźniów z naszej grupy zdołało uciec z jednego, mniej strzeżonego wagonu. Prawdopodobnie, jak twierdzili później pilnujący nas gestapowcy, zostali oni złapani i skazani na karę śmierci. Następnego dnia nasz transport ruszył w drogę. Już na terenie Niemiec dołączono do nas inną grupę więźniów, a po pewnym czasie dowieziono nas powtórnie do Osnabrück. [...]

Ten okres obfitował w liczne dzienne i nocne naloty samolotów alianckich na niemieckie miasta, nie ominęły one i nas. Podczas jednego z nalotów między wagony, w których mieszkaliśmy, zostały zrzucone dwie bomby. Zabiły kilku naszych kolegów, wielu więźniów odniosło rany, a kilka wagonów zostało całkowicie zniszczonych. [...] Naloty alianckie trwały prawie bez przerwy. Częste alarmy dały się nam mocno we znaki. Nasz los pogarszała jeszcze ciężka niewolnicza praca, szczególnie przy odgruzowywaniu zniszczonych obiektów i naprawianiu torów, oraz choroby i głód. Pod koniec stycznia 1945 r. dołączono do naszej grupy około czterdziestu zdrowych więźniów – dobrze odzianych Duńczyków. Przydzielono im specjalny wagon, a następnego dnia popędzono ich do pracy. Po kilku dniach pobytu i ciężkiej pracy w obozie wielu z nich zachorowało i poumierało. Po dwóch tygodniach zostało ich tylko trzech. Niemcy wystali ich do innego obozu.

Bombardowania Osnabrück nasiliły się w kwietniu. Niepowodzenia frontowe i zbliżający się koniec wojny wywołały niepokój wśród dowództwa obozu i pilnujących nas Niemców. Jeden z pilnujących nas gestapowców, Stefan, informował nas o tych nastrojach i planach nas dotyczących. Dowództwo obozu na specjalnym zebraniu ustaliło plan likwidacji naszego obozu – wszyscy więźniowie mieli być pozabijani. Większość dowództwa nie zgodziła się na to. Chwilo zostaliśmy uratowani.

W drugiej połowie kwietnia nastąpiła likwidacja naszego obozu. Tym razem w pośpiechu i gorączkowo załadowano nas do wagonów towarowych i pod zwiększoną eskortą gestapowców opuściliśmy Osnabrück. Kilka dni jechaliśmy na północ, głodni i spragnieni. Zatrzymywaliśmy się na różnych stacjach, ale nie pozwolono nam wychodzić. Od znajomego gestapowca dowiedziałem się, że mamy przez pewien czas obozować w pobliżu portu Lubeka. Pracowaliśmy tam przy przeładunku różnych towarów i sprzętu z wagonów towarowych na statki, które odwoziły je prawdopodobnie do portu w Kilonii. Pracę tę musieliśmy wykonywać szybko i prawie bez żadnego odpoczynku, od świtu do nocy. Nadzorujący nas gestapowcy byli podenerwowani, czuć było ich lęk o przyszłość. Wzmocnili jednak nadzór nad więźniami. Dawano nam skąpe racje żywnościowe. Z tamtejszą ludnością nie mogliśmy nawiązać łączności, gdyż nasz obóz w wagonach towarowych umieszczono z dala od miasta i pilnie go strzeżono.

W początku maja, w przededniu zakończenia wojny, wśród ogólnego popłochu, zgiełku i zamieszania nastąpiła tym razem całkowita likwidacja naszej steranej i wyniszczonej grupy roboczej. Wszystkich załadowano na statek-barcę i wywieziono na pełną wodę. W nocy z 4 na 5 maja gestapowcy potajemnie opuścili barcę, oddając nas pod nadzór marynarzy i żołnierzy Wehrmachtu. Płynęliśmy powoli i po dwóch dnia zostaliśmy zatrzymani na wodach Kanału Kilońskiego, w pobliżu Kilonii.

Kapitan naszej barki, Austriak z pochodzenia, okazał się człowiekiem dobrym i szlachetnym. Był dla nas wyrozumiały. W podobny sposób odnosiła się do nas cała załoga barki, na której znajdowało się około 500 więźniów różnych narodowości, głównie Polacy, Rosjanie i Francuzi. Większość naszych kolegów – więźniów zapadała na różne choroby, przede wszystkim zaczął szerzyć się tyfus. Zachorował również dr Winkler. [...] Więźniowie wybrali mnie na komendanta całego naszego zespołu. Kapitan i jego załoga nie traktowali nas jako więźniów, ale jako ludzi pokrzywdzonych, potrzebujących opieki i pomocy lekarskiej. Od kapitana otrzymaliśmy trochę żywności, którą rozdzielono pomiędzy wszystkich. Nasze warunki mieszkaniowe były na tyle ciężkie, że stłoczeni więźniowie coraz bardziej zapadali na zdrowiu. Choroba szerzyła się, a lekarza wśród załogi nie było.

Wrz z kilkoma zdrowymi kolegami pomagałem chorym, jak mogłem. Rozdawaliśmy żywność, napoje, pocieszaliśmy i zachęcaliśmy do wytrwania, bo wolność zbliżała się i mo-

gła nadejść w każdej chwili. Zdawało nam się, że spokojnie doczekamy chwili wyzwolenia przez wojska alianckie. Czekaty nas jednak ciężkie chwile.

W kanale Niemcy nagromadzili wiele różnych okrętów wojennych i towarowych z więźniami z różnych obozów koncentracyjnych i jeńców wojennych. W nocy z 6 na 7 maja, a więc tuż przed kapitulacją Niemiec hitlerowskich, stojące na Kanale Kilońskim okręty, statki i barki z więźniami niespodziewanie zostały zaatakowane przez bombowce alianckie. Skutki bombardowania były ogromne. Zatopiono kilkanaście okrętów, statków towarowych i barek z więźniami i jeńcami. Nieuszkodzone pozostały tylko trzy barki, w tym nasza. Z nastaniem dnia ujrzeliśmy smutny obraz – uszkodzone i zniszczone statki. Najbardziej bolało nas to, że wśród zniszczeń i pożogi zginęło wielu ludzi, przeważnie więźniów i jeńców wojennych. Wielu z nich utonęło. Niektórym udało się doплыć do brzegu. Ale hitlerowscy oprawcy, którzy byli jeszcze na kilku statkach i zdążyli dotrzeć przed nalotami lotniczymi do brzegu, jak też stacjonujące w pobliżu jednostki, ukryte w lesie porastającym brzegi kanału, likwidowali rozbitków seriami z karabinów maszynowych. W ten sposób zginęły setki ludzi.

Nocą z 7 na 8 maja ukazały się nam kolumny wojsk alianckich, ale niestety po przeciwnej stronie kanału. Była to duża odległość, bo nie słyszeliśmy śpiewu i odgłosu poruszających się pojazdów. Opanowała nas wszystkich wielka radość i nerwowe oczekiwanie końca naszej smutnej niedoli. Ale czekała nas jeszcze jedna próba, poprzedzona zresztą radoszą wieścią o kapitulacji III Rzeszy.

Już po ogłoszeniu kapitulacji, pod koniec dnia, 9 maja, na naszą barkę wdarła się grupa czarnych gestapowców uzbrojonych w broń maszynową, żeby zatopić barkę wraz z nami. Kapitan, Austriak, nie zgodził się na ten haniebnny zamiar, wtedy dowódca gestapowców zagroził, że jeśli kapitan i kilkusobowa załoga w ciągu dwóch godzin nie opuszczą barki, to zostaną zatopieni wraz z nami. Kapitan przedstawił mi całą tę niebezpieczną sytuację. Wspólnie podjęliśmy decyzję, o której powiadomiliśmy dowódcę czarnych gestapowców – jeżeli w ciągu 20 minut nie opuszczą barki, ich wszystkich wraz z całym sprzętem wrzucimy do wody. Było nas przeszło pięciuset, a ich około dwudziestu, mieliśmy więc szansę zrealizowania groźby. Po chwili gestapowcy, co prawda z groźnymi minami, ale opuścili naszą barkę. Byliśmy uratowani.

W Kanale Kilońskim przebywaliśmy nadal, ponieważ jego wody były gęsto usiane minami podwodnymi i trzeba go było przynajmniej częściowo rozminować. Rankiem 11 maja 1945 r. ostrożnie ruszyliśmy w kierunku wybrzeży Szwecji, by tam pod opieką szwedzkiego Czerwonego Krzyża przechodzić kurację poobozową.

Opracowała Barbara Polak